Nr. 31. We Lwowie, Poniedziałek dnia 3. Sierpnia 1891.

Dodatek literacki „DZIENNIKA POLSKIEGO”

pod redakcją *Stanisława Rossowskiego.*

SAMSON.

(Z cyklu poezyi prozą „Przelotne chmury.“)

Co za męczaca rzecz, ta czytelnia u wód! Po co myśmy się zaabonowali, teraz trzeba chodzić i czytać te stosy dzienników powtarzających we wszystkich językach to samo a przeież zaledwie od czasu do czasu, coś nowego dzieje się rzeczywiście. Mniej szpalt, a więcej prawdy! Rozrzewniającą jest zaiste owa ufność bezwzględna, bezgraniczna, niemal dziecinna, z jaką ludzie chwytają falę codziennych wieści, wkładają ja sobie w głowę i budują na niej swe sądy i przekonania nieraz o sprawach najważniejszych, gdy tymczasem obok rzeczy koniecznych i pożytecznych znajdują i spisy niestworzonych zdarzeń i śmiałe rejestra europejskich kłamstw i pokus.

Uwagi te nasunęły mi się w wytwornej tutejszej czytelni, więc rzuciwszy gazety, patrzyłam na czytających. Wszyscy pożerali drukowane nowiny, a głucha cisza wisiała nad ich głowami przerywana niekiedy szelestem arkuszy. Starsi — rozumiem, ale co te dzieci? co te dzieciaki tu robią! Na zielonym pufie, jak pączek róży, siedzi mała, ośmioletnia dziewczynka, ubrana do kolan i błękitne rafaelowskie swe oczęta zatapia w świeżym numerze „Journal pour rire“! Biedactwo, już szwargocze po francusku i wciąga w siebie dwuznaczne koncepta, a ciekawa rzecz, czyby na mapie Galicyi prędko znalazła miejsce kąpielowe, gdzie się właściwie znajduje? czy rozróżnić by umiała sosnę od jodły i świerka, których przecież woń dobroczynna maluje różowo jej wybladłą od miejskich wrażeń twarzyczkę. A tamten chłopak w jedwabnej bluzie, z chudą szyją i żółtawem czołem, podsiniał: oczy zatopił w „Fliegende Blatter“ i uśmiecha się wido znie rozumiejąc doskonale rozmowę dwóch wiedeńskich szulerów, których karykatura przedstawia. A tamten podlotek w dziwacznym kapeluszu, posiadający w równym stopniu blednicę i ciekawość, jakże pręd o czyta sprawozdanie fizyologicznej powieści Mantegazzy: „Chora miłość“! Ha, ha! co za obiecujące młode pokolenie! Nie wiem jak można mieć sumienie takie pisklęta brać do czytelni, gdzie w rękę wszystko wpada! Do lasu to zapędzić, do lasu, niech się pasie cudownem powietrzem, niech krzyczy na cały głos, oczy zanurza w czystej zieloności, szyszkami się bawi i chłonie wrażenia niepokalanej przyrody, tej najlepszej, najgodniejszej zaufania dziecinnej piastunki. — Gniew podniósł mnie z miejsca i już chciałam wyjść, gdy wzrok mój padł na jedną z ilustracyi. Prześliczny obrazek! W pustym piasczystym wąwozie, młodzieńczy Samson mocował się z lwem, a bohater rozdzierał mu paszczękę na dwoje. Lew przysiadł tylnemi nogami do ziemi, przednie łapy z wytężonymi pazurami — chwytały powietrze, młodzieniec prawą ręką odpychał dolną jego szczękę, lewą ciągnął w tył szczękę górną, — pochylony lekko miał swego przeciwnika miedzy kolanami, jakby chciał dosiąść złotego króla pustyni. Wiatr odrzucił mu włosy z czoła jaśniejącego pogodą i mniej od reszty twarzy opalonego, oczy błyszczały uniesieniem zwycięzkiej walki, a usta dziecinnym prawie rozchylały się uśmiechem, gdy zaglądał do ogromnej paszczy, co go przed chwilą rozszarpać była mogła. Ten młody, zwycięzki Samson tak był piękny i silny, że mimowoli czuło się także chęć ruchu i walki. Pomimo że się chmurzyło, poszłam z czytelni do lasu. Bo to tylko krok jeden z tej eleganckiej sali, pełnej aksamitów portier, dywanów i drukowanych plotek całego świata do świerkowego wspaniałego w swej prostocie i prawdzie boru. Las szumiał trochę złowrogo, tym niespokojnym urywanym rytmem przed burzą, a zdala szły jednostajne jakieś kucia. Poszłam w tym kierunku. Trzeba było iść długo, zanim stanęłam na ładnej polance, zawalonej ściętymi świerkami, które rąbano i ustawiano w sągi. Jeden z takich olbrzymów leżał na poprzek ścieżki, zielona korona nurzała się w piasku, pień oblany złotą krwią żywicy spoczywał już nieruchomy na śmiertelnem łożu paproci, a liliowe leśne dzwonki biły na ostatnią godzinę wyniosłemu królowi puszczy, który zakończył oto dni swoje. Huk rozległ się teraz gdzieś tuż, nie mogłam jednak zrazu dojrzeć rąbiącego człowieka. Aż nareszcie go spostrzegłam i silnego doznałam wrażenia — to był znów — Samson, tylko nie tamten młodzieniec z ilustracyi lecz jeszcze Samson dziecko. Dwunastoletni chłopczyk, w płótniankę odziany, stał na pniu świerka, gnąc kolanami grubą gałęź, prawą ręką mierzył siekierę, lewą odginał w tył grube odrośla konaru, wiatr odrzucił mu włosy z czoła jaśniejącego pogodą i mniej od reszty twarzy opalonego, oczy błyszczały uniesieniem zwycięzkiej walki, a usta rozchylał uśmiech, gdy z rozmachem ciskał na bok odcięte gałęzie, a żylaste rączęta zanurzał w zielonej grzywie olbrzyma. Kuł z wielką siłą, dość już wprawnie, tylko za prędko, z pewną zawadyacką fantazyą, nie rachując się z wytrwałością swych sił; ciężka praca bawiła go jeszcze tylko jak nowość. Po dłuższej chwili chłopak czerwony i spocony zręcznym ruchem zatrzymał siekierę w powietrzu, potem ją spuścił na ziemię, a obie ręce skrzyżował za głowę.

— Co tu robisz? — spytałam. Pytanie było niewłaściwe, bo chłopiec ruszył ramionami i patrząc na mnie ze swej wyżyny, roześmiał się dosadnie, jakby mówił: — a toś dopiero mądra kiedy patrzysz a nie widzisz!

— To twoja siekiera?

— Tatusiowa.

— A tatuś czemu nie rąbie?

— Bo ich wczoraj smerek przygnótł i leżom w izbie.

— Czy tatuś ci rąbać kazał?

— Ni.

— A któż?

— Ii.. to ja se sam tak lubię.

— Ale ci ciężko? takiś czerwony, zgrzany?

— To tak dobrze rembać! gałęzie ładnie lecom wszendy! aż miło!

I zaczął dalej miotać razy, a gałęzie leciały z szumem dokoła i zapach żywicy płynął w powietrzu. — A to mały Samson! Cudna była w tem dziecku potęga siły fizycznej i popęd do ciężkiej walki z trudami, przytem, to odczucie piękna, to zamaszyste natchnienie do czynnego ruchu.

— Czem jest twój ojciec?

— Drwalem sosn.

— A dziadek czem był?

— Też drwalem byli.

na żonę, tak jak to czynił często od chwili, gdy zmiana ta zaszła. Było to nazajutrz po jego ślubie około południa. Wrócił właśnie z krótkiej przechadzki. Wychodząc zostawił ją śpiącą; sądził że jeszcze spoczywa, tak ciemno było i cicho w pokoju, lecz gdy się zbliżał na palcach do łóżka, rozległ się nagle okrzyk. Odwróciwszy się, spostrzegł twarz żony pochyloną nad wiszącem przy oknie zwierciadłem. Przyglądała się sobie z wyrazem osłupienia.

— Swiatła, wiecej światła! — zawołała do niego.

Zdziwiony i zaniepokojony, gdyż był jeszcze pod wrażeniem zemdlenia w powozie, pobiegł do okna i podniósł szybko żaluzje:

— Spojrzyj na mnie — zawołała, chwytając sie za głowę.

— Co to jest? — zapytał, lecz w tejże chwili z piersi jego wydobył się także okrzyk przerażenia, gdyż głowa pochylająca się przed nim była biała jak śnieg, biała, jak głowa dziewięćdziesięcioletniej staruszki, wówczas gdy wczoraj jeszcze pokrywały ją wspaniałe ciemne włosy.

Przez chwilę spoglądali na siebie w osłupieniu.

— Geniu — rzekł wreszcie — aby tak osiwieć, musiałaś chyba doznać strasznego jakiegoś zawodu lub cierpienia. Powiedz mi co ci jest, kochanie? Boleść że to, lub może tajona jaka choroba? Mów, ja chcę wiedzieć.

Zamiast odpowiedzi wybuchła płaczem.

O tak! — mówiła — cierpiałam strasznie, nie sądziłam, abym mogła przeżyć tych kilka godzin męki.

I odejmując rękę od serca, nagłym ruchem wskazała na dziennik new-jorski, który doktor trzymał w ręku.

— „Herald“, — zawołała — pokaż mi go. Musi tam być wzmianka o naszym ślubie. Ze śmiechem hysterycznym prawie wzięła gazetę i zbliżyła się z nią do okna. Pragnę czemkolwiek, bodaj próżnostkami, zagłuszyć w sobie to cierpienie — mówiła.

Doktor śledził z coraz większym niepokojem, bojąc się, czy nie postradała zmysłów, lecz spostrzegłszy, że oczy, przebiegające po dzienniku, nie mają błędnego wyrazu, osunął się na kanapę, zapytując się w duszy, jakim będzie jego los na przyszłość.

że zastanie w domu doktora Moleswortha, poszedł do Boarding house pani Olney — z rozkazem aresztowania go.

KSIĘGA II.

Gromadzące się chmury.

Dr. Iuliusz Molesworth.

Duży, posępny pokój o dwóch oknach, wychodzących na wysoki mur, stół zarzucony flaszkami, instrumentami, materjałami piśmiennymi, książkami, duża ceratowa kanapa i kilka krzeseł, brudny dywan i sufit pokryty pajęczyną, na kominku dogasające głownie: — oto widok, jaki przedstawia pokój doktora Moleswortha. Siedzi on przed ogniskiem, pogrążony w głębokiej zadumie

Przyjrzyjmy się bliżej temu mieszkaniu. Jest to gabinet recepcyjny, pokój sypialny i jadalny zarazem tego nieprzeniknionego człowieka. W rogu stoi duże łóżko, zakryte parawanem; ani jednego przedmiotu zbytku, nic, coby mogło rozweselić i ucieszyć oko. Doktor Molesworth nie dba o takie drobiazgi, zresztą, gdyby nawet przywiązywał do nich wagę, nie ma pieniędzy dla zdobycia ich. Pamiątki zaś, otrzymywane od pacjentów, a zwłaszcza od wdzięcznych pacjentek, zwykł on przyjmować z powściągliwą grzecznością i za powrotem do domu, wyrzucać je za okno lub do kominka. Nie życzy sobie wcale mieć naokoło siebie dowodów słabości niewieściej; przeciwnie, siła w kobiecie przejmuje go zachwytem.

Pomiędzy książkami, które zapełniają skromne półki, na jednej tylko (jedynej o treści nie mającej nic wspólnego z medycyną), jest napis ręką kobiety. Głosi on następujące zasady:

„Żyj w ubóstwie, bądź głodnym, znoś wszelkie niewygody i niedostatek, lecz wytrwaj w tem, co przedsięweźmiesz i bądź zadowolony wówczas dopiero, gdy dojdziesz do doskonałości“.

— A ojciec dziadka? może nie wiesz?

— Wim! drwalem, zawdy ino drwale byli drwale!

— A ty czem będziesz?

Podniósł głowę, siekierę rozkołysał, potężny cios spuścił między konary i dodał stanowczo:

— Jak tatuś.

— Doskonale! będziesz tęgim drwalem, masz siłę i lubisz jej używać. Ładne zajęcie! zawsze w lesie, z drzewami, z ptakami, prawda?

— Aha!

— Tylko zima przykro na mrozie stać, co?

— Ta gdzie! jak się rąbie, ciepło jak latem!

— A jak ci na imię?

— Piotruś.

W tem mignęło na niebie, w gęstniejących chmurach piorun zahuczał gwałtownie a echo rozległo się po lesie daleko, głęboko.

— Nie boisz się burzy?

— Ni! A pani to się bojom? — spytał z filuterną powagą.

— Nie. — Odpowiedziałam, choć nie była to szczera prawda, bo burza robi na mnie czasem wrażenie unicestwiania mojej istoty; piorun może mnie zabić na miejscu, a cała głębia uczucia, siła woli, czułość myśli, nic a nic nie poradzą; czemże więc jestem w obec tej jednej iskry, która ma władzę mnie zgładzić? Lubię walkę, nieustąpię przed wrogiem, z którym można się zmierzyć, ale z burzą nie ma walki! — Zagrzmiało znów bliże

— Nie pójdziesz do domu?

— O, ni!

— A cóż będziesz robić?

— Rąmbać!

— A jak burza tu przyjdzie?

— To przejdzie, — rzekł trochę gniewnie i wziął się do swej siekiery. Czułam, że mu przeszkadzam, więc raz jeszcze objąwszy okiem tę zręczną, typową postać dziecka, chciałabym była zapamiętać ją dokładnie na zawsze. Ten z dziada pradziada drwal, dziedzicznie silny, atleta mały, wydał mi się wiele rokującym; ten Piotruś dwunastoletni wydał mi się charakterystyczną cząstką jakiejś podstawowej epoki, co się u spodu społeczeństwa kształtuje i krystalizuje; silna, czysta, wytrwała, z zapałem do pracy, z zainteresowaniem dla trudów, zdrowa i jędrna pogodnem wejrzeniem przetrzymująca burze.

Ach! ty mały siłaczu! czemuż ciebie nie widzą te wydelikacone, wątłe eleganciki z czytelni, trujące się w dziecinnych już latach morfiną humorystyki cudzoziemskiej! *Co z nich będzie*, a co z ciebie!

Ach! ty śliczny, mały Samsonie! tyś nie jeden, ty masz miljon rąk tęgich, miljon takich błyszczących oczu, ty pracuj se dokoła na ziemi, w borach, w murach, pod ziemią, wszędzie i kiedyś — pracowitemi ramionami tryumfalnie zatrzęsiesz zbutwiałym gmachem nędzy, aż runie w proch i niepamieć! Rośnij, ty mały dziś jeszcze Samsonie, i — szczęść ci Boże!.

Szczęsna.

Mekka i cholera.

Depesze sygnalizowały o wybuchu w Arabji cholery, słabszej na południu w posiadłości angielskiej Aden, gwałtowniejszej na zachodzie w Mekce i Medynie.

Ostatniej dziwić się wcale nie należy: w obu świętych grodach wyznawców Mahometa, jest ona zjawiskiem pospolitem i ciągłem. Inaczej być nie może. W mieście małem i brudnem jak Mekka lub Medyna, ogołocona ze wszelkich środków hygienicznych i wody*) a mogącem pomieścić zaledwo kilkadziesiąt tysięcy ludzi, gdy się zbierze kilkakroć tysięcy ze wszystkich stron swiata, a głównie z nad Gangesu, siedliska cholery, powietrze przesyca się zarazkami, które zaraz na miejscu dziesiątkują zgromadzone tłumy, a następnie roznoszone są przez powracających do domu po wybrzeżach zatoki perskiej i oceanu Indyjskiego, morza Śródziemnego i Czerwonego, a stamtąd w głąb kontynentów Europy, Azji i Afryki.

Przeszkodzić temu żadna siła ludzka nie zdoła, gdyż wpierw należałoby chyba wzbronić pielgrzymek do Mekki, co jest rzeczą niemożliwą bo pielgrzymka ta nakazana przez Koran.

Odbyć pielgrzymkę do Mekki powinien każdy prawowierny choć raz w życiu; w razie niemożności zastępca jego musi wymieniać w każdej modlitwie imię tego, któremu nie dano było odwiedzić świętego miejsca.

Wiedzą pielgrzymi, jakie ich czekają w drodze lub samej Mekce utrapienie, czy to od cholery, czy też od beduinów, czy w ogóle od wypadków dalekiej podróży. To też każdy wybierając się w tę drogę, obowiązany jest uregulować swe interesa i sprawy prywatne i publiczne tak samo, jak gdyby się na śmierć gotował.

W drodze pątnik powinien przestrzegać czterech przykazań: 1) nie wszczynać kłótni, 2) znosić urazy z łagodnością i cierpliwością, 3) utrzymać zgodę w karawanie i 4) oczywiście hojnie po drodze rozdawać jałmużnę

Mieszkańcy Arabji o ile możności odbywają wędrówkę lądem karawanami; z dalszego wschodu albo karawanami lądowemi, albo morzem. Z Indji i Chin udają się statkiem przez ocean Indyjski; w Adenie łączą się z indyjskimi i chińskimi pątnicy z Omanu i południowej Persji, a w Dżedzie, porcie Mekki, z pątnikami egipskimi i tureckimi. Większa część wszakże podróżujących, zwłaszcza z Azji środkowej, dąży karawanami przez Bagdad, Mosul, Damaszek i pustynie syryjską.

Zbliżając się do Mekki na parę dni drogi przed tem, czy to na statku, czy w karawanie, pątnik zapuszcza brodę, włosy i paznogcie, zrzuca z siebie dotychczasowe suknie i nagie ciało okrywa zlekka t. zw. *Ihramem*, tj. dwiema płachtami białemi z tkaniny wełnianej, zrobionej o ile możności w domu na warsztacie ręcznym — w każdym razie przez wiernych, nie przez giaurów. Jedną z tych płacht przepasuje biodra drugą zarzuca na szyję i ramiona. Głowa powinna być obnażoną ze wszelkich zawojów lub fezów i wystawiona na smaganie wiatru, deszczu lub palących promieni słońca. Jeno starcom i kalekom wolno przysłonić ją lada czem i to pod warunkiem złożenia hojnej jałmużny. Ubodzy zasłaniają się szmatą zawieszoną na kiju.

Noga na podbiciu musi być równie eż obnażona i dla tego używają się osobno na ten cel wyrabiane sandały. Dla kobiet ibram składa się z płaszcza takiejże samej tkaniny, który ją pokrywa całą od stóp do głowy; twarz przykrywa grubsza od zwykłego tureckiego jaszmaku workowata zasłona z małemi otworami na oczy.

Raz przywdziawszy strój taki, pielgrzym musi go nosić ciągle, w dzień i w nocy, w słoty i upał, w zimnie i cieple, aż do ukończenia pielgrzymki.

Po przybyciu do Mekki pielgrzym zostawia swe rzeczy podróżne w hanie, karawanseraju, lub sklepie jakim i udaje się sam lub z *metowefem* (przewodnikiem) do Masjad al alharana**) i tam zbliża się do miejsca, nadającego owej świątyni świętość, tj. do czworokątnej budowy, nazwanej *kaabą*, w której blisko drzwi w rogu leży w srebro oprawny kamień czarny, zesłany podług wiary muzułmanów z nieba.

Wchodzi się do swiątyni przez bramę Bab-el-Salam, t.j. pozdrowienia, składa się cztery pokłony i odmawia odpowiednie modlitwy, a powtarzając je, zbliża się pielgrzym do czarnego kamienia i całuje go, a gdy tłum pobożnych przeszkadza mu to uczynić, dotyka kamienia ręką prawą i takową całuje. Potem siedm razy i obchodzi

*) Są cysterny napełniane wodą deszczową i lichy wodociąg.

**) Święte nienaruszone miejsce, czyli swiątynia pierwszy meczet.

Książka ta należała niegdyś do jego matki i słowa tu skreślone były jej pismem.

Doktor Molesworth kochał matkę, chociaż po wyjściu z lat dziecięcych nie pocałował jej nigdy, a słowa te obrał za zasadę swego życia. Czy dodał jeszcze co do nich z własnego doświadczenia?

Przyjrzyjmy się twarzy jego przy świetle kominka, a może zdołamy rozstrzygnąć to pytanie.

Lecz przedewszyskiem, nad czemże się tak zamyślił? Widocznie ma jakiś ciężar na sercu.

Śmierć-li to Mildred Farley, lub przewidywanie jej skutków, zasępiły tak jego czoło? Śledzić go będziemy z ukradka i zobaczymy, czy się odwróci z niepokojem na odgłos otwieranych drzwi poza sobą, czy na twarzy jego odmaluje się niepokój?

Teraz jest jeszcze sam na sam ze sobą, nic nie przerywa toku jego rozmyślań. Mamy czas przyjrzeć się jego gęstym, ciemnym brwiom, dużemu, lecz kształtnemu nosowi, wygolonym policzkom, energicznemu zarysowi ust; nie możemy jednak widzieć oczu, są bowiem nawpół przymknięte, a w nich to właśnie, jak wiemy, spoczywa cała jego siła, czego mógłby mu pozazdrościć sam Adonis.

Najpiękniejsza, najpowabniejsza kobieta nie śmiałaby przeszkodzić człowiekowi temu w zadumie. Choćby go kochała, choćby pragnęła gorąco pogłaskać ciemne włosy, spadające niedbale na jego szyję, zawahałaby się, zanimby się ośmieliła dotknąć ich aksamitnemi swemi paluszkami, lub wyszeptać jego imię.

Wystarcza on sam sobie, sam walczy z dobrymi lub złymi instynktami, bez niczyjej pomocy, bez pociechy i osłody. Jedynem jego pragnieniem: obznajomić się dokładnie ze swoim zawodem; jedyną ambicją — stać się najznakomitszym współczesnym lekarzem.

Dla dopięcia tego celu walczył od lat najmłodszych; dlatego według rad matki, znosił głód i niedostatek; dlatego zadowala się obecną miernością, ufny, że nadejdzie dzień, w którym sława jego przeniknie z dzielnic, zamieszkiwanych przez ludność ubogą, do wspaniałych kamienic i pałaców.

Zdawało mu się, że stoi na progu swych marzeń i celów. Miał właśnie pacjentkę z chorobą tak niezwykłą i skomplikowaną, że gdyby wynalazł na nią

P. Gryce pocierał ręce. Wyglądał o jakie dziesięć lat młodziej.

Czyżby spodziewał się uczynić nowe odkrycia w Waszyngtonie?

XI. W hotelu w Waszyngtonie

Świat pełen jest obrazów ciemnych i świetlanych. Od smutnego gabinetu doktora przejdziemy do wesołego pokoju w Waszyngtonie, gdzie w świetle zachodzącego słońca dr. Cameron spogląda czule na swoją małżonkę, która bawi się kartą zapraszającą, otrzymaną przed chwilą.

— Będziesz musiał odpowiedzieć? — rzekła zginając z trudnością palce prawej ręki — mój reumatyzm nie ustępuje.

— I jakąż ma być ta odpowiedź — pytał dr. Cameron.

Zamyśliła się przez chwilę, potem na ustach jej pojawił się uśmiech.

— Lubisz te wszystkie zabawy — rzekła — a więc używajmy ich.

— Czy ciebie to nie bawi?

Westchnęła, podniosła główkę i odparła z przymileniem.

— Bawię się wszędzie, gdzie jestem z tobą, nawet wśród tłumów.

Wiedział że tak jest, wiedział, że wbrew smutnym przewidywaniom, ma w niej kochającą żonę, i serce zabiło mu żywiej.

— Geniu moja — rzekł — zaczynasz przychodzić do siebie. Dziś wyglądasz prześlicznie.

Mówiąc to, przyciągnął ją do siebie i wpatrywał się z lubością w tę twarz ukochaną.

Eugenia Cameron była bowiem piękna, piękniejsza o wiele od Eugenii Gretorex. Obcy nawet ludzie spostrzegliby to, a cóż dopiero mąż, w którego oczach była obecnie najpiękniejszą kobietą pod słońcem. Niedość iż spojrzenie jej było jaśniejsze, uśmiech bardziej czarujący, lecz zaszła w niej nadto zmiana fizyczna, która nadawała jej zupełnie inny wyraz. Zastanawiał się właśnie nad tą zmianą, patrząc teraz

kaabę: pierwsze trzy szybkim, cztery następne powolnym i poważnym krokiem.

Przed Mahometem kobiety i mężczyźni obchodzili kaabę nago. Mahomet zalecił obchód w ibramie; kobiety obchodzą w nocy.

Pielgrzym następnie przyciska się do muru kaaby i błaga o odpuszczenie grzechów. Po złożeniu czci Abrahamowi na miejscu Makam i wypiciu wody ze studni Zem-Zem, mającej być owem źródłem, z którego Agar pokrzepiła Izmaela, pielgrzym wychodzi z meczetu bramą Bab-el-Safa, udaje się na górę Safa, skąd po odmówieniu modlitwy rozpoczyna świętą przechadzkę zwaną Saa lub Sai. Odbywa on ja prostą ulicą Mesan, mającą około 500 łokci długości, a zakończoną pałac m Meroue. Ponieważ przechadzka ta ma przypominać wędrówkę Agary, szukającej wody dla syna, więc pielgrzym stąpa zrazu powoli, śledzi, czy szuka coś okiem, następnie biega tu i owdzie i znów oglądając się poza siebie kroczy poważnie. Przeszedłszy w ten sposób ulicę siedm razy, udaje się do balwierza w pałacu Meroue, gdzie przy modłach golą mu włosy i obcinają paznogcie. Teraz jest to prawdziwy pielgrzym, hadży, który to tytuł pozostaje mu do końca życia.

Dziewiątego dnia miesiąca Dziul-hadże po modlitwie porannej, hadżowie tłumnie udają się na górę Arafal, gdzie odprawiają nabożeńst o do zachodu słońca, a noc spędzają w M rdolifie na czytaniu koranu. O brzasku dnia odwiedzają Maszir-el-ha — ram, a stamtąd udawszy się w dolinę Mine, rzucają siedm kamieni, gdzie szatan miał kusić Abrahama do nieposłuszeństwa Bogu przed ofiarowaniem syna. Dziesiątego dnia w tejże dolinie zabijają na ofiarę baranka, którego częścią spożywają, a resztę rozdają ubogim. Po ofierze golą głowy i obcinają paznogcie, zagrzebując obrzynki w tem samem miejscu.

Pielgrzymka skończona. Owe osłabione postem i umartwieniem tysiące i krocie, rzuciwszy ostatnie wejrzenie błagalne w stronę kaaby, to znów w stronę ognisk domowych, podążają do takowych z powrotem. Lecz nie wszyscy wrócą część umrze w drodze lub na progach domów swoich obdarzywszy je śmiertelnym pocałunkiem zarazy; druga część zginie od walk z beduinami, jeśli się im nie opłaci, a trzecią zagrzebie wiatr pustyni w jej piaskach.

Jan Gregorzewski

Malarz.

— Panie profesorze, rzekł ostrożnie służący, odchylając kotarę, wiszącą w drzwiach pracowni malarza. Panie profesorze, powtórzył, przyszła jakaś kobieta i mimo mego nalegania, aby wielmożnemu panu nie przeszkadzała, chce się z panem profesorem koniecznie widzieć.

— Znasz ją?

— Mieszka w podwórzu na trzeciem piętrze; zdaje mi się że jest praczką.

Hm, za wiele pewnie nie ma, proś ją. Kobieta, która weszła była już niepierwszej młodości i dziwnie smutny miała wyraz twarzy, chociaż widocznem było, że usta do uśmiechu ułożyć się siliła. Ubrana niby żałobnie, lecz czarna jej suknia nie z jednolitej składała się materji, jak to łatwo było poznać po różnych odcieniach koloru, a jednak z ubrania tego widoczną była żałoba, która bogatym nieraz ku ozdobie służy.

W chudej ręce trzymała papierowy pieniądz, a z litościwie w artystę utkwionego spojrzenia, niema przebijała prośba.

— Cóż tam pani ma za interes? siadaj pani, rzekł profesor przyjacielsko i zachęcająco.

— No, z czem pani przychodzi? — i mówiąc to, uśmiechnął się dobrotliwie, jak gdyby od dawien dawna znał kobiecinę.

— M ja córeczka, - poczęła ośmielona łaskawem przyjęciem, -- moja jedyna dziecina umarła dzisiaj rano i sama teraz jestem na świecie. Ach! Boże... tu łza zamgliła jej oko i nieśmiało rozglądając się po bogatych meblach i sztalugach, ściskała papierek w ręku, nie wiedząc, co dalej mówić.

— Ja przyszłam... rzekła wznawiając znowu nieśmiało swą prośbę.

— I cóż pani chciała, nie płaczże pani, ale mów śmiało.

— Ja... ja przyszłam prosić pana profesora, rz kła drżącym głosem, — żeby z łaski swojej odmalował moją dziecinę, bo jutro...

I znowu łzy duże spadły z jej oczu, i objęła kolana malarza.

— Bo jutro już mają ją pochować, czy tak? dokończył wzruszony artysta.

Kobiecina skinęła tylko niemo głową i pocałowawszy rękę malarza, chciała mu w nią wcisnąć papierek.

— Nie, nie, — chowając po za siebie ręce, bronił się profesor artysta, zatrzymaj to pani, bo inacze... nie pójdę. Pani się to na pogrzeb przyda... I domawiając tych słów, wziął paletę z farbami i pędzle i poszedł na poddasze biednej matki.

Na poddaszu w małej izdebce o skośnej ścianie, stanowiącej zarazem dach domu, leżała dziewczynka lat może sześciu w ubogiej trumience. Spojrzawszy na zmarłą, przypomniał sobie profesor modrooką dziewczynkę, którą często widywał bawiącą się na dziedzińcu. On tak lubił tę małą, a teraz...

Poprawił kwiaty, w których, jak w ramach, leżała dziewczynka i usiadszy naprzeciw z paletą w ręku, począł szkicować.

Już z masy farb wynurzały się niewyraźnie kontury, gdy przestając malować, zapytał:

— Niebieskie miała oczy, nieprawdaż?

— Tak jest, odpowiedziała krótko, nie śmiejąc przeszkadzać kobieta.

Już było południe, popołudnie i wieczór się zbliżał, a artysta wciąż malował, nie patrząc już teraz na trumienkę.

— Skończone, rzekł wreszcie głosem zadowolenia i oparł mokre jeszcze płótno na stołku o ścianę.

— Prawda że podobna?

Kobieta podeszła do światła i w niemem uniesieniu rozrzewnienia i radości padła przed obrazem na kolana.

A na obrazie nie był to zmarły aniołek z trumienki, ale żywa, z oczyma niebieskiemi, jak wody górskich jezior, dziewczynka, a usta jej małe zdobił uśmiech błogiej rozkoszy.

I biedna praczka, złożywszy ręce, jak do modlitwy, trwała w niemym zachwycie. Profesor cicho pozbierał malarskie przybory, urwał na pamiątkę kwiatek z nad trumienki i szybko wyszedł, nie czekając podziękowania. Promień zachodzącego słońca, padając przez okienko, niby błogosławieństwo Boże, odprowadził go do drzwi, a gdy te się zamknęły, padł na obraz, złocąc artystycznie odtworzone rysy maleńkiej. *W. L.*

Piotr Arbuos.

(Günthera Wallinga).

Co chcesz niewiasto, co w poprzek mej drogi
Stawasz i krzyk ten podnosisz złowrogi?
Ustąp, jam kapłan, co z sądu przybywa,
Dążąc na modły w podwoje kościoła!
Słyszysz, już późno! obowiązek woła!
Z drogi! jeś nieznam! Z drogi, nieszczęśliwa!

Lecz ja znam ciebie, zniszczenia gadzino,
Coś śmierć wniósł dla mnie w wężowym twym [wzroku
Mordem sakrament twój! krwią jest twoje wino! —
Zostań! nim skończę — nie pójdziesz na kroku! —
Jak dziś noc była. Ebra mętne fale
Z ponurym szumem spiętrzone się niosły,
Gdy do wrót bijąc, krwi chciwe twe posły,
Dom mój opadły, jak głodne szakale.

względnie spokojnym, jeśli znajdę kogoś, kto go dokona sumiennie. Znam jednego tylko takiego człowieka, a mianowicie doktora Cameron. Posiada on ambicję i wszelkie zalety umysłu i duszy dla spełnienia moich zleceń, wbrew opozycji, jaką mu zapewne będą stawiały uznane powagi naukowe. Jemu chcę powierzyć mój wynalazek i to natychmiast. Czy zrozumiałeś mnie pan, czy zechcesz przychylić się do mojej prośby?

P. Gryce w milczeniu podniósł głowę. Doktor śledził go z niepokojem. Jakież były jego myśli? Najszczerszy przyjaciel, najdawniejszy kolega, nie mógłby ich odgadnąć z twarzy agenta.

— Czy poszlaki, jakie pan masz przeciwko mnie, są zbyt wielkie, abyś mógł mi udzielić tej folgi? — nalegał doktor.

Pójdziemy do dyrektora — zadecydował wreszcie p. Gryce.

Dr. Molesworth skłonił się w dowód wdzięczności, następnie zabrał ze sobą potrzebne przedmioty. W chwili, gdy mieli opuścić pokój, położył rękę na ramieniu agenta.

— Czy możesz mi pan powiedzieć — zapytał — na podstawie jakich danych zostałem aresztowany?

P. Gryce zmarszczył brwi.

— To rzecz attorneja — odparł. — Ja jestem ręką prawa, nie ustami.

Dr. Molesworth nie pytał już więcej.

Przed bramą stał powóz; wsiadłszy doń, udali się do głównego sztabu policji.

Nie potrzebujemy opisywać tego, co tam zaszło, dość, że po półgodzinie wyszli z gabinetu dyrektora i wsiadłszy znowu do powozu, kazali się wieść na Yersej City.

Podróż do Waszyngtonu uzyskała sankcję.

Przedewszystkiem musimy zastać doktora w jego apartamencie — mówił w drodze doktor Molesworth do p. Gryce. — wiem że on mnie nie lubi i wątpię, czy chciałby mnie wysłuchać, gdyby tylko mógł uniknąć widzenia się ze mną. Obiecaj mi pan, że zaskoczysz go znienacka, tak jak mnie.

— I owszem — odparł agent — nawet bez pańskich wskazówek byłbym tak postąpił.

środek skuteczny, zyskałby od razu sławę. A czuł, że jest w posiadaniu owego cudownego środka — pewien był tego.

Chociaż kilku najlepszych lekarzy próbowało kuracji i zaniechało jej, on nie dał się tem zniechęcić, w przeświadczeniu, iż odkrył lekarstwo, które zapewni zdrowie pacjentce i zadziwi wszystkich jego kolegów.

Niewątpliwie potrzeba było odwagi dla zastosowania tego wynalazku i niespożytej energji dla prowadzenia systematycznie kuracji, lecz na tych zaletach nie brakło doktorowi Molesworth.

Zdarzała mu się pożądana sposobność i chciał z niej skorzystać.

Rozmyślał-li nad owym środkiem, siedząc tak w świetle kominka?

Zapał, który stopniowo odbijał się na jego twarzy, świadczył raczej o tajemnicy odkrytej, niż pogrzebanej w głębi duszy.

— Tak, niewątpliwie — zawołał — w małych, lecz częstych dozach. Ręczyłbym za to życiem.

I nagle, podniósłszy głowę, spostrzegł w zwierciadle, wiszącem nad kominkiem, twarz chłodną i nieubłaganą.

Spostrzegł tę twarz, lecz się nie odwrócił od razu. Gdy to uczynił, już nie znać było śladu zapału.

— Przepraszam pana — odezwał się — lecz o tej porze nie przyjmuję pacjentów.

— Nie jestem pacjentem — odparł pan Gryce.

— Masz pan jednak do mnie jakiś interes. Przypominam sobie pańską twarz, lecz nie wiem, gdzie ją widziałem.

— Mniejsza o to. Doktorze Molesworth, nie będę się wdawał w długie gadaniny. Oświadczam ci krótko i węzłowato, że jestem agentem policyjnym i że przychodzę, aby cię aresztować, jako domniemanego mordercę Mildred Farley.

Doktor zbliżył się do stołu i wziął do ręki kawałek papieru, na którym skreślonych było słów kilka, następnie skłonił się w milczeniu przed agentem, co było jego jedyną odpowiedzią.

— Mam rozkaz oddać pana do więzienia — cią-

Córkę mi z mego wydarto objęcia;
Próżne me krzyki, próżne zaklęcia,
Prędzej ze skały dobędziesz skrę duszy,
Niż się ich serce litością poruszy.
Zimny kapłanie ty nie znasz dziecięcia,
Nie pojmiesz nigdy mych strasznych katuszy.
Dni i miesięcy jednakie odmiany
Bez śladu biegły po martwej mej duszy,
Aż dzień ów nadszedł, dzień niezapomniany:
Zimowe słońce kresu było blisko —
Tam w jedną stronę prą się lud i księża,
Gdzie krwawym słupem się płomień wypręża
Bijąc ze stosu — straszne widowisko! —
I słyszę szepty: „Spalonem dziś będzie
Dziewczę, co w nowej nauki trwa błędzie.
Kto? chcę zakrzyknąć... tam we włosienicy,
Wśród mnichów jawi się postać dziewicy.
Dziecię me! dziecię! — Ten tłum mnie nie pu-
{szcza
Już śpiew żałobny krew mi lodem ścina,
Już żar podsyca zakonnicza tłuszcza
I już u słupa droga ma dziecina!...
Moc zapomnienia objęła mnie głucha! —
Długo-m na ziemi leżała bez ducha,
A gdym się wreszcie zbudziła z omdlenia,
Szły poprzez zgliszcza wiatru ranne tchnienia,
W głowę i pierś mi popiół sypiąc siny,
Ostatnie szczątki mej biednej dzieciny,
Od owej chwili ja dniem się i nocą
O zemstę modlę. I z niebios te modły
Pomstą się wrócą i w proch cię zdruzgocą!
Dość już twych zbrodni, morderco ty podły!
Słyszysz, jak burza złowrogo po niebie
Gromami huczy, to klątwa na ciebie.
Tak! wszystkie męki, hańba, poniżenie,
Tych łez sierocych gorzkie owe zdroje,
Tej krwi niewinnie stoczonej strumienie,
Te serca wszystkie, co pękły we dwoje,
Za twoją sprawą, ohydny potworze,
Całe rozpaczy wielkie owo morze
Stawa i głosem straszliwym ci woła:
Przeklętyś zbójco! — Przeklęty! przeklęty! —
Słucha i błędny wzrok powiódł do koła:
Znikła niewiasta na kształt nocnej mary,
I dreszcz go przeszedł i grozą przejęty
Niepewnym krokiem zdąża do kościoła.
Tam coś szeptają świątyni filary,
To męże jacyś! — w kaptur skryte czoła,
Chce krzyknąć — późno — przy nim rzesza wraża
Już krwią zalany legł u stóp ołtarza. —

Zygmunt Bylkowski.

Niespożyte zagadnienie.

— Czy szkodzi nam używanie tytoniu, czy dobrze robi, czy wreszcie pozostaje bez wpływu: oto pytania, które nieskończoną ilość razy tu i tam stawiane, nieskończoną ilość odpowiedzi wywołały i — do dziś dnia bez odpowiedzi pozostały.

„Pomaga" twierdzą jedni, „szkodzi", wołają *inni*, co poprostu ze względu na pierwszych znaczy, iż są amatorami tytoniu, dla drugich zaś, że go nie znoszą.

A zagadnienie samo trwa dalej nierozwiązane, niespożyte.

Swieżym dowodem *tego* jest, broszura, jaka niedawno wyszła nakładem Wolfa Peifera w Berlinie p. n. „Für und wider den Tabak" *(Za i przeciw tytoniowi)*, a w której zebrano w całości nadesłane ongi przez wybitniejsze osobistości w Niemczech odpowiedzi na kwestjonarjusz redakcji „Deutschen Tabak-Zeitung."

Rezultat podobnej ankiety, zarządzonej ongi przez „Figaro" paryzki, znany jest dziś zamieszczamy opinję pod tym względem Niemiec.

L. Anzengruber, zmarły przed rokiem poeta austrjacki, odpowiada krótko i węzłowato: „Palenie tytoniu wstrętnym jest, nieznośnym dla powonienia zwyczajem, świadomość jednak tego nie przeszkadza mi do palenia cygar i to namiętnie, zwłaszcza przy pracy".

Tego samego mniej więcej zdania jest większość poetów niemieckich, jacy w broszurze przez nas wymienionej miejsce znaleźli, a więc: Edward Bauernfeld, dr. Rudolf Baumbach, F. Bodenstedt. Feliks Dahn, dr. Juljusz Grosse, Paweł Heyse, Wilhelm Jensen. Gottfried Keller, Konrad Meyer, Oskar Redwitz, Emil Ritterhaus, Albert Trager i t. d.

Nie brak wszakże wśród rycerzy Parnasu zdań przeciwnych. Estetyk np. Frenzel wygłasza opinję, iż dla niego „palenie na równi z zażywaniem tabaki jest wstrętnem".

Ludzie nauki — a głos to przemożny — surowiej od artystów osądzili tytoń. Słynny chirurg wiedeński, dr. Bilroth, mianuje go bardzo szkodliwym: „Że potomstwo — powiada między innemi uczony — zalkoholizowanych i znikotyzowanych wyższych warstw społecznych coraz silniej zapadać będzie na nerwy — nie-dziwota. Kolosalne wzmożenie się w czasach obecnych chorób nerwowych i umysłowych, bezsprzecznie stoi w związku z rozpowszechnionem dziś aż do nadmiaru użyciem alkoholu i tytoniu".

Profesor chemji lekarskiej w Halli, dr. E. Harnack, wypowiada zdanie: „iż jakkolwiek tytoń pewne korzyści używającym go organizmom przynosi, nigdy one w przybliżeniu nawet nie zdolne są szkód zrównoważyć".

Sądy to bardzo kategoryczne, szkoda jednak iż obok ich niemniej fachowe, ale znacznie dla tytoniu łagodniejsze spotykamy głosy.

Profesor-okulista przy uniwersytecie wrocławskim, dr. H. Magnus zaleca umiarkowane palenie, według niego bowiem tytoń „pobudza trawienie, łagodząco działa na system nerwowy i do pewnego stopnia stanowi środek desinfekcyjny dla jamy ustnej."

Przyjacielem tytoniu również był zmarły niedawno profesor Nussbaum z Monachjum. Uczony ten jest zdania, jako palenie często korzyści przynosi, niezmiernie zaś rzadko szkodzi, szczególniej dodatnie działanie na mózg przyznaje mu.

Wręcz za paleniem oświadcza się profesor na wydziale filozoficznym w uniwersytecie berlińskim dr. H. Lazarus:

„Palę z upodobaniem namiętnie nawet — pisze — szczególniej przy pracy natężającej umysł; trzy do czterech cygar mocnych, wypalanych dziennie, nigdy mi na zdrowiu szkody nie przyniosły.

Szczególniej ciekawą jest odpowiedź, nadesłana przez profesora Pawła Meyerheima, znanego malarza zwierząt. Oto ustęp z jego listu:

„To, cobym wam donieść mógł o paleniu tytoniu ze względu na moją własną osobę, niebardzoby was chyba zajęło. Palę cygara lekkie, nie rozumiem się więc zupełnie na dobrych i mocnych; donoszę wam jednak za to, co o paleniu myślą modele moje z zoologicznego ogrodu.

Między innemi przepadają za niem zwyczajne brunatne niedźwiedzie. Ilekroć wdmuchiwałem im dym z cygara do klatki, zbliżały się wnet do kraty i z lubością wycierały o nią łby w miejscu, z którego dym ich dochodził.

Jednemu ze lwów w czasie snu wrzuciłem szczyptę tytoniu miałkiego w nozdrza; zwierzę rozbudziło się natychmiast, z widocznem zadowoleniem podniosło się, kichnęło głośno, a przeciągnąwszy się i ziewnąwszy, ułożyło się do snu ponownie.

Kozy, jelenie, sarny, lamy przepadają również za dymem z cygara. Jedną z tych ostatnich oswoiłem nawet nim.

Nieraz paląc, widoczną sprawiałem przyjemność pawjanom, jak widzicie zatem, nie dla swojej tylko palę."

Upodobanie małp wogóle do dymu tytoniowego znanem jest i sprawdzonem przez wielu badaczy.

---

gnał dalej agent — lecz gdybyś musiał jeszcze co załatwić...

— Prosiłbym o pół godziny czasu — odparł doktor stanowczo — mam pacjentkę... — nie dokończył, zasiadł przed biurkiem. — Nie przerywaj mi pan — mówił, kładąc przed sobą papier, trzymany w ręku, — muszę tu coś zanotować. Jestto kwestja życia i śmierci dla biednej kobiety.

— Pisz pan — rzekł agent — mogę poczekać.

Doktor Molesworth pisał uważnie, spokojnie, z wielkiem skupieniem ducha. Skończywszy, podał kartkę p. Gryce.

— Będzie to zapewne niezrozumiałem dla pana — mówił — lecz pierwszy lepszy doktor to objaśni.

Następnie usiadł znowu przy stole i napisał kilka listów, które podawał kolejno agentowi do przejrzenia, zanim je zaadresował. Po dokonaniu tego, zwrócił się do p. Gryce w te słowa:

— Jestem już do pańskiego rozporządzenia.

Gdzie mnie pan zaprowadzisz. Zaaresztowałeś mnie na podstawie posądzenia o morderstwo. Musisz pan mieć do tego swoje powody, ważniejsze niż te, które wykazało śledztwo. Nie będę o nie zapytywał, powiem tylko, że poszlaki pańskie są fałszywe; muszą być takimi, gdyż nie popełniłem tego morderstwa; a ponieważ poszlaki nie są faktami, aresztując mnie, dopuszczasz się pan niesprawiedliwości względem mojej osoby i wyrządzasz krzywdę moim pacjentom. Lecz jesteś pan tylko wykonawcą wyższych rozkazów i nie zamierzam wcale dowodzić panu mojej niewinności. Chcę tylko prosić cię o jedną przysługę, w zamian za ową niesprawiedliwość i krzywdę. Chodzi mi o krótką rozmowę z osobą, którą chętnie wymienię i z którą mówić będę w pańskiej obecności.

— Czy mogę zapytać, kto jest ową osobą? — zainterpelował p. Gryce.

— Jestto lekarz i przyjaciel mój, doktor Walter Cameron, mieszkający pod Nr. 6 przy Fifth Avenue.

Żadne nazwisko nie mogłoby wywołać większego zdziwienia w p. Gryce. Dla czego, sam nie zdołałby określić. Obaj doktorzy ordynowali w jednym szpitalu i dr. Cameron przyznał się był do znajomości z doktorem Molesworth. A jednak agent nie spodzie-

wał się wcale usłyszeć jego nazwiska; w oczach jego nadawało to inny charakter całej sprawie.

— Doktor Cameron wyjechał — odparł agent po chwili — wyruszył z nowo poślubioną swą małżonką do Waszyngtonu i wątpię, czy już powrócił.

Cień jakby przeszedł po twarzy doktora Moleswortha.

— A jednak muszę się z nim widzieć — nalegał — nie pokazałeś mi pan dotychczas rozkazu uwięzienia. Uważaj mnie, jako pozostającego pod twoim nadzorem i jedź ze mną do Waszyngtonu. Nie pożałujesz tego. — I nagle, jakby pojmując niedorzeczność swego żądania, dodał: — spełniasz pan tylko rozkazy swego zwierzchnika. Chciałbym się z nim widzieć.

— Zobaczysz się z nim. Czy nie mógłbyś pan objaśnić mnie, czego sobie życzysz od doktora Cameron?

Twarz Juliusza Molesworth rozpromieniała. W chwili tej był prawie pięknym.

— Nie wiem, czy mnie pan zrozumiesz, jednak... Czy miałeś pan w życiu jaką wielką ambicję, jakiś cel? — spytał nagle, rzucając powątpiewające spojrzenie na dobroduszną postać swego interlokutora.

P. Gryce uśmiechnął się.

— Możesz pan mówić tak, jak gdybym je miał — odparł.

— A więc słuchaj mnie pan. Jestem na drodze do zadowolenia *mojej* ambicji, na drodze do pożądanego celu. Mam do czynienia z chorobą niezwykłą, skomplikowaną. Dotychczas żaden z moich kolegów nie potrafił znaleźć na nią środka. Zainteresował się nią nawet dr. D. i poświęcił jej dłuższe badanie, lecz nie natrafił na właściwą kurację. Wszystko to znajdziesz pan w dziennikach. I wobec tej nadziei, wobec tej pewności raczej, zapytujesz mnie pan, czego sobie życzę od doktora Cameron, najzdolniejszego wśród młodych lekarzy?

— Sądzę, że rozumiem pana — odparł agent — lecz zechciej pan wyrazić się jaśniej. Chciałbym znać dokładnie sytuację.

— Oto pragnę, aby wraz z wolnością którą ja tracę, kobieta owa nie utraciła życia. Jakkolwiek wolałbym sam przeprowadzić to doświadczenie, będę